magazyn ilustrowany

n. 1

wszystko dla wszystkich



1 zł.

Nr. 1 Grudzień 1930 Rok I

Wszystko dla Wszystkich

Magazyn Ilustrowany

JA CHCĘ GWIAZDKĘ Z NIEBA...

Kiedy pierwsza gwiazda na niebie zabłyśnie... Gwiazdka! Mały, srebrny punkcik. Cóż nam to słowo na myśl przywodzi?

Miljardy takich gwiazd błyszczą na niebie w pogodne noce. Ale nie o tych gwiazdkach teraz myślimy. Nie o tych. O tej jednej, która zabłyśnie pierwsza i z wielkich przestrzeni oświeci mały prostokąt opłatka. Gwiazdka!

Co myślimy o tej gwiazdce? To przecież dzień wspomnień.

Szukamy się w przestrzeniach minionych lat, myślą chwytamy obrazy przeszłości, A ile razy chcielibyśmy, aby ta przeszłość chociaż na chwilę na nowo stała się rzeczywistością? Nie traćmy nadziei. Gwiazdka stwarza cuda.

Szukamy śladów przeszłości. Różne są i liczne. Czasem jest to stary, wielki dwór pełen wrzawy i ostatnich przygotowań. Oto już na stołach legły białe, jak śnieg płótna obrusów. Białe, jak śnieg. A właśnie śnieg leży przed oknami. Śnieg wisi na gałęziach drzew. Srebrny mrok gęstnieje z każdą chwilą. Patrzymy w tę ciszę i w ten mrok. Jest nam jakoś tak dziwnie, tak spokojnie, tak inaczej niż codzień. O, bo dzisiaj jest dzień ważny, dzień tajemniczy.

Za drzwiami salonu dzieją się wielkie misterja. I nikt tam niema prawa wstępu, tylko ojciec i matka.

Tak nam mocno biją serca. Przez oszronione szyby wypatrujemy jakichś nieznanych dróg. Okrągły ognik światełka migoce w dali. To pewnie święty Mikołaj przemierza dalekie pola wielkiemi krokami. Zielony świerk trzyma w dłoni, w torbie zawieszonej u pasa znajdują się wszystkie cuda świata. — Dobry Mikołaju, nie zapomnij o nas! — Ale oto już koniec przygotowań. Spokój białej przestrzeni wtargnął do wnętrza domu. Cicho. Wypatrujmy pierwszej gwiazdy na niebie.

Ale oto już inne wspomnienia. Miasto. Mrok na ulicy. Prędkie kroki zapóźnionych przechodniów głuszy gruba warstwa śniegu. Dzisiaj wszyscy się spieszą. Z głośnym trzaskiem opadają żaluzje sklepów. Gasną światła sklepowych witryn. Ale cóż nas to obchodzi. My mamy tutaj znacznie ważniejszą rzecz, mamy pokój, swój pokój, pokój tajemniczy. Wejdziemy tam po wilji. Nie wcześniej. Kiedyż będzie ta wilja? Jak trudno jest czekać? Jesteśmy pełni niecierpliwości. Aż wreszcie... wreszcie czyjś głos wpada w świąteczną ciszę mieszkania: — gwiazdka na niebie!



Czasem jest inaczej. Czasem są tylko cztery nagie ściany małego mieszkanka i wielka samotność. Wtedy niema gwiazdki na niebie. Jest ciemno i smutno i źle. Bardzo, bardzo źle. Największy smutek w najradośniejszym dniu.

Szukajmy w pamięci, szukajmy cierpliwie. Obyśmy nigdy nie znaleźli takich chwil.

Ale są jeszcze gwiazdki inne. Gwiazdki historyczne. Tak!

Oto wilja w pierwszym roku wielkiej wojny. Wilja pełna ukrywanego niepokoju i pytań, które gwałtem cisną się na usta: — co dalej? Co będzie jutro? — To gwiazdka oczekiwań.

A potem mamy pierwszą gwiazdkę Niepodległości. Najpiękniejszą gwiazdkę narodzin Polski. Święty Mikołaj przyniósł nam w swej torbie Wolność. Święty Mikołaj. Pamiętam Go. Miał takie duże, duże wąsy i krzaczaste brwi. Naprawdę! To była gwiazdka spełnionych marzeń.

A potem nastąpiła gwiazdka bojowych frontów. Gwiazdka walki. Wilja w okopach. Ciche kolędy i daleki, przytłumiony odgłos strzałów.

Ale to jeszcze nie wszystko. Gwiazdek były już miljony i może każdy z nas miał inną. Jedno tylko było jednakowe — pierwsza gwiazda na niebie. Co nam przyniesie teraz? Co nowego objawi gwiazda 30 roku? I czego mamy sobie życzyć?

Ja już wiem. Ja chcę gwiazdkę z nieba. Chcę ją wziąć w ręce i zanieść tam, — gdzie mrok i pustka, dokąd zapomniał zajrzeć św. Mikołaj. Wezmę gwiazdkę, zawieszę ją nad takiem ciemnem oknem, żeby było jasno i srebrzyście w pokoju.

Myślicie, że to trudno zrobić? Przecież każdy z nas taką gwiazdkę ma w sobie. Gwiazdkę szczęścia. Tylko trzeba umieć ją znaleźć.

Eleusis.

LUDWIK FRYDE

Wiersz wigilijny.

Smukłą jodełkę przynieście
Z Bogiem
Ostawcie w śpiącem mieście
Pod progiem.

Zaśpiewamy zcicha, pochylimy
Zmęczone głowy,
Aż się zbudzi, aż się zerwie wiatr silny
W ciszy zimowej.

Aż przeszumi, aż przeleci, aż przepędzi
Białą ulicą
I potrząśnie zastygłemi gałęźmi
Z skrzepłą żywicą.

Wtedy w śpiącem, zadumanem mieście
Wśród śnieżnych gwiazd
Będzie pachniał, będzie szumiał jak we śnie
Ciemny, jodłowy las.



Czy powrót czarnej piękności?

(Wywiad z Józefiną Backer.)

Antwerpja, w listopadzie.

Przez olbrzymie drzwi antwerpskiej „Century" przedarł się ostry głos „entrez". Wchodzę bez wahania.

Józefina spoczywała właśnie na wygodnym sześlągu. Zmęczona triumfami i podróżą poprzez Amerykę południową, Hiszpanję, Austrję, Niemcy i Węgry. Z kolei zawitała do Belgji; ostatnie „tournée" charlestona. Potem Józefina porzuci już ten zamierający taniec. Taniec, który ją wyniósł na szczyty sławy i blasku, dziś zamierał wraz z nią razem.

„Dziennikarz? Świetnie, kocham pasjami dziennikarzy. Każda ich wizyta sprawia mi niewysłowioną radość. Mam tyle do opowiedzenia".

No, królowa charlestona stanowczo zbyt egzaltuje, ale że ja nie mam chwilowo nic lepszego do roboty, więc wierzę jej bez ogródek, tak, na słowo. Pan lubi zapewne wino? Oczywiście, nie ma najmniejszych powodów do nielubienia. I butelka Vermouthu króluje natychmiast na małym stoliczku.

Józefina nie przestaje szczebiotać ani na chwilę. Czekam na rewelacje, ale te, jak i rozlanie wina do kieliszków nie nadchodzą. Zapach Vermouthu rozchodzi się po całym pokoju i oto za parawanem coś poczyna się ruszać. To coś ma dwie nogi, frak nieskazitelnie uszyty i twarz skończonego rzezimieszka z najlepszych amerykańskich dramatów.

— Mój mąż — anonsuje Józefina.

Ładna historja, z tym jednak wywiadu sobie nie życzę.

A on, intuicyjnie zgadlszy me zamiary, rozpoczął go dyktować.

„Jak panu wiadomo, żona moja święciła szereg niezwykłych triumfów we wszystkich krajach, gdzie występowała".

Wiadomo, niewiadomo. Wszystko „mięta", ale czemu nie rozlewa tego ponętnego Vermouthu.

— W czasie pobytu w Hiszpanji — kontynuuje szanowny małżonek — zdarzył się nam przykry wypadek. Publiczność podburzona przez miejscowy kler rzucała w żonę zgniłemi jajami, a nawet bombę, która zrobiła tyle nieprzyjemnego zapachu, iż musiano przerwać przedstawienie.

— Byłam w okropnym strachu — daje znak Józefina, iż w całej historji ma też coś do powiedzenia.

— Przepraszam, jak się pan nazywa?

— Pepino Abatino. Z urodzenia jestem Włochem, potem...

— Dziękuję, ale mają panowie dobre wina. Już chyba wyraźnie, daję mu do zrozumienia, iż nie wyjmuje się butelki tylko dla ozdoby stołu.

On, jednak nieugięty, opowiada, iż następnie na Węgrzech, przeżywano nieco większe emocje.

— Oto w chwili, gdy w teatrze rozpoczynało się przedstawienie, w każdym kościele uderzono w dzwony i odprawiano nabożeństwa o odwrócenie zła, mającego wraz z Józefiną spaść na miasto. Reklamę zrobiło to wspaniałą. Wszystkie przedstawienia przy wyprzedanej widowni.

Zaczynam obserwować murzyńskie bożyszcze. Włosy wypomadowane i ugłaskane, lśnią imponująco. Twarz wymalowana przypomina raczej europejkę świetnie opaloną w promieniach słonecznych. Paznokce u rąk pociągnięte złotą powłoką. Ręce starannie utrzymane. Postać cała niesłychanie zgrabna i zwinna. Nogi? Boże! W kostce nieco wykrzywione, chude. Nie, stanowczo zbyt patykowate.

— Nie próbowała pani przyjechać czasem do Polski?

— Do Polski? Nie, jest tam nieco za zimno dla mnie. Zresztą boję się policji (!!??).

Spoglądam błagalnym wzrokiem na Vermuth. Dostrzegam pękniętą szyjkę butelki lecz najmniejszego znaku świadczącego o chęci napełnienia kieliszków. Żegnam w końcu moich drogich gospodarzy i wściekły wychodzę. Wieczorem siedzę w teatrze. Obok mnie reporter „Matina", wczoraj dostał również wywiad.



— Był pan u Józefiny? — pytam.

— Owszem, bardzo gościnna. Poczęstowała mnie Vermouthem. — Patrzę znocząco na jego zdradliwie uśmiechniętą twarz.

— Przepraszam, czy nie przypomina pan sobie butelki, czy nie miała czasem pękniętej szyjki?

— Ach! Tak, rzeczywiście, miała.

Na usta rzucają mi się nastrojowe słowa francuskie.

O taki spryt nie posądzałem jej jednak.

— Przedstawienie spotkała generalna klapa. Oklaski były, lecz skąpe, grzecznościowe. Józefina się skończyła. Charleston zginął.

Dziś w „Casino de Paris" niebywały sukces. Józefina ma powodzenie, jak za dawnych lat. Rzuciła połamane tańce murzyńskie. Występuje w skeczach, śpiewa, tańczy. A Paryż, szaleje jak niegdyś.

J. H.

WIESŁAW WERNIC

Szalony lotnik.

...a wszystko zaczęło się na lotnisku. Wśród wielkiej płaszczyzny poprzecinanej smukłemi kadłubami powietrznych ptaków, w powiewach ciepłego wiatru niosącego zdala warkot lotniczych silników i przekleństwa mechaników zlewających śruby samolotów gęstemi strumieniami ciemnej oliwy. Zapach tłuszczów mięszał się z wonią benzyny i roznosił po całem polu aż do krańców, znaczonych białemi budynkami wielkiego miasta.



Między długiemi szopami hangarów, na nędznej, wydeptanej trawie, przegradzanej gęsto żółtemi plackami piasku, stała grupka ludzi w gumowych, szaro-zielonych płaszczach. Trzęśli głowami, obmacywali chwytnemi rękoma przeguby i zgięcia samolotu, błyszczącego biało-czerwonemi kwadratami farby na skrzydłach.

Inżynier-konstruktor, naczelny kierownik Linji Powietrznej, wzruszał ramionami. — Za nic nie gwarantuję — piał cienkim głosem, — za nic. Bo proszę panów — tu znowu dotykał mosiężnych rurek motoru — spojenia lewego skrzydła wadliwe, stery nie wytrzymują krytyki...

Zdania były podzielone. Pilot tylko nastawał z uporem: — Bo to nic nie znaczy. Jeździłem i na gorszych. Za ten aparat mogę ręczyć.

Wreszcie oponenci ustąpili. — Ha, to jedź pan z Bogiem...

Zbita w jedną gromadkę komisja rozciągnęła się teraz długim sznurem płaszczów na wąskiej ścieżce. Czarne postacie podróżnych wyłoniły się z wnętrza biur Powietrznej żeglugi. Przyglądali się nieufnie aparatowi, podczas gdy pilot i mechanik w zbożnem milczeniu opatrywali motor. Niezgrabnie władowali się do wnętrza. Zahuczała maszyna. Dwu ludzi podbiegło i chwyciło za skrzydła samolotu. Kiedy nierówne klaskanie motoru przeszło w miarowy rytm, nagle puścili. Aeroplan potoczył się po równej powierzchni łąki, drgnął, zafalował skrzydłami i uniósł się w powietrze.

Zataczając wielkie kręgi nad miastem wzbijał się coraz wyżej, ku wielkiemu strachowi czarnych panów, ściśniętych w wąskiej przestrzeni pasażerskiej kabiny. Lotnik był w świetnym humorze. Przekręcił stery i stalowy ptak pognał prosto na południe.

Właśnie byli nad Łodzią, kiedy coś poczęło się psuć. Mechanik wyczuł to już oddawna i bezradnie oglądał postukujący motor. Wszystko było w porządku. A jednak... jednak nerwowe drżenie aparatu nie wróżyło nic dobrego. Krzyczał o tem do ucha pilotowi, starając się zapanować nad hukiem maszyny, ale tamten wzruszał tylko ramionami, na znak, że nie rozumie.

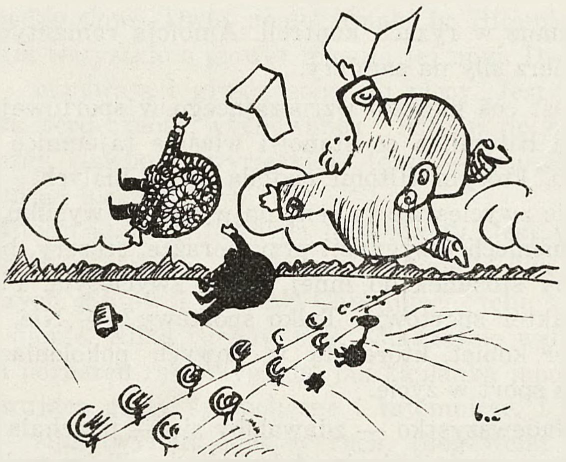
— Ster nam djabli wzięli! Słyszysz pan? Ster!!

Pilot roześmiał się tylko.

Mechanik załamał ręce z rozpaczy, ale po chwili darł się znowu: — skrzydło się chwieje! Słyszysz pan? Skrzydło! S k r z y d ł o!! — sylabizował po literze . Tym razem pilot musiał usłyszeć, bo do uszu mechanika doszedł jego głos, niewyraźny, poprzerywany wybuchami tłoków.

— No... więc... co? — Lądować!... lądować!... — wrzeszczał mechanik. — A...ni my...ślę! — W tej samej chwili prawe skrzydło znikło gdzieś w tyle, porwane wiatrem. Stało się to tak nagle, że początkowo nie zwróciło niczyjej uwagi. Jechali więc dalej. Kadłub niesamowicie począł trzeszczeć. Jeden z podróż-

nych zapadł się razem z fotelem i numerem rannej gazety, którą czytał. Pozostali, porozumiewając się na migi, pokazywali sobie wielką dziurę w podłodze, przez którą widać było szarzejącą ziemię. Znowu coś trzasnęło. Wojłokowy chodnik, fotele, walizki — wszystko znikło.



— Patrz pan, patrz pan!... — ryczał mechanik. W dole widniały czarne postacie podróżnych. Palta wydęły się im nakształt spadochronów. Miotani wiatrem i tu i tam, lądowali powoli.

Pilot nic nie mówił, tylko śmiał się i jechał dalej. Dopiero kiedy i drugie skrzydło frunęło w przestrzeń a reszta kadłuba kawałkami poczęła odpadać, wrzasną do ucha mechanika: — Trzymaj się pan motoru, już blisko. —

Ledwie skończył mówić, kiedy obydwa fotele, na których siedzieli, obsunęły się w dół. Lecieli dalej, trzymając się kurczowo ram motoru. W dali ukazały się smukłe wieże Marjackiego kościoła. — Uwaga, steruj pan nogami — krzyknął znowu pilot.

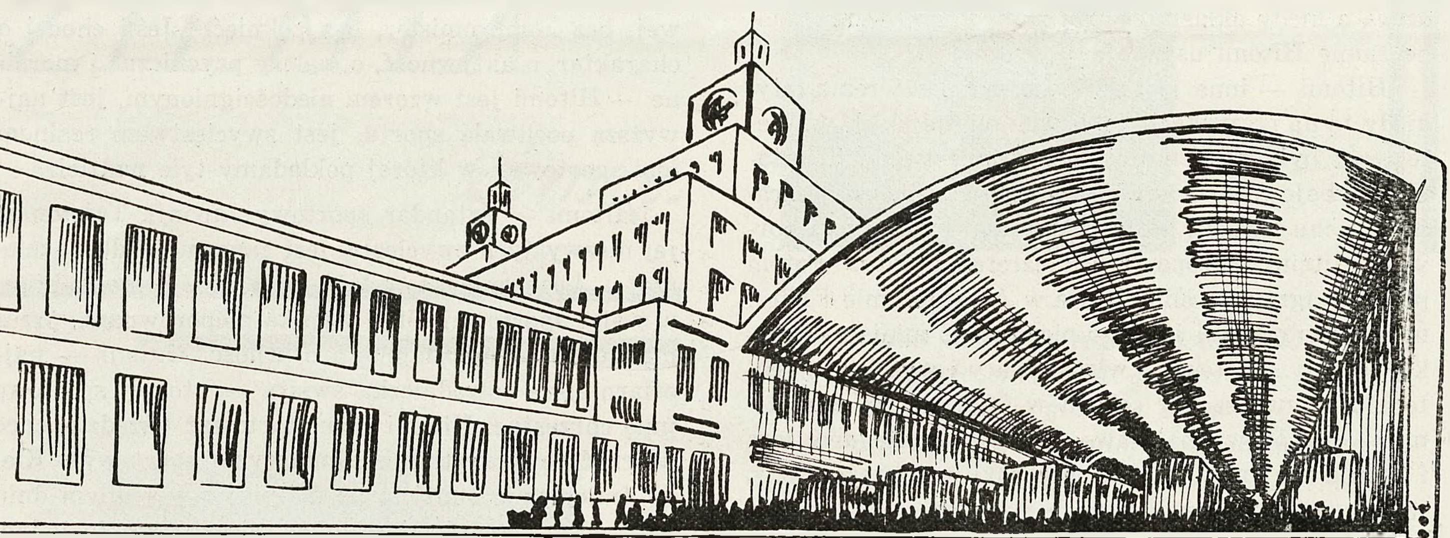
Goście zebrani na polu krakowskiego lotniska ujrzeli ciekawy widok. W górze ukazał się czarny punkt motoru z przyczepionemi doń dwoma postaciami. Pilot i mechanik wykonywali ekwilibrystyczne manewry nogami, starając się wylądować. Wreszcie motor znalazł się tuż nad płaszczyzną pola.

— Baczność! — natężył głos mechanik, — gotuj się do skoku!

Dotknęli jednocześnie nogami ziemi i poczęli biedz niosąc przed sobą motor.

— Stop! — Zatrzymali się przed zdumioną gromadką gapiów.

— Uff... stawiaj pan. — Ostrożnie położyli motor na ziemi.



ANDRZEJ KRASICKI — POEZJA DWORCA

Peron. Tłok. Wąż żelaznych pudeł.
Semaforów sygnały. Lamp pochodnie.
Wysoki pan. Golfowe spodnie.
Pani z tysiącem tobołów. Pudel,
Którego nie chcą wpuścić do wagonu.
Szary. Dymny. Długi pas peronu.
Robociarz wyświechtany. Kobieta z kobiałką.
Chłopiec z chałką.
Ktoś stoi, ktoś biegnie, ktoś gada.
— Czekolada! — Pomarańcze! — Lemonjada!
Granatowa bluza. Czapka. Numer. Tragarz.
Pcha wózek żelazny. Ho — op! Uwaga! Bagaż.
Pochylony człowiek. Młot stuka w koła.
Zawiadowca znudzony. Ktoś krzyczy. Ktoś woła.
Parowóz spocony. Sapie. Syczy. Wyje.
Ktoś kogoś żegna. Ściska. Rzuca się na szyję.
Urywane słowa. Śmiech. Okrzyki. Łkanie.
Okno. Kwadrat. Szyba. W oknie stoi pani.
Jasne oczy. Smutek. Łzy perliste. Duże.
Białe palce. Fiołki. Purpurowe róże.

— — — — — — — — — — —

Warknął. Szarpnął. Łomocą bufory.
Pusta stacja. W mroku giną tory...

K. MUSZAŁÓWNA

Hitomi — żółte bóstwo sportu.

Wysoka, szczupła, doskonale umięśniona, o męskiej prawie budowie. Proste, sztywne, czarne włosy, równo rozdzielone na środku głowy — ujmują w dwa kąty proste żółtą twarz ze skośnemi oczami, nosem prostym, ustami zaciętemi w mocną linję uporu.

Hitomi — żółta dziewczyna sportu, symbol japońskiego ducha sportowego, bóstwo międzynarodowych stadjonów świata, fenomen pracy i fenomen ofiarności.

Jak to się stało, że na dźwięk słowa „Hitomi" — przez trybuny leci powiew entuzjazmu? — Jak to się stało, że żółta dziewczyna sportu jest uniesieniem i ukochaniem białej publiczności? Dlaczego — jej zwycięstwo nagradza niewstrzymany huragan oklasków, aczkolwiek rodaczki tysięcy widzów do niej właśnie przegrały? — Jak to się dzieje, że najbardziej szowinistyczna — publiczność sportowa nie cieszy się z jej porażek, lecz współczuje Hitomi?

Każdy start Hitomi witany jest długiemi oklaskami. Ona sama — nie lubi oklasków, choć nie lekceważy publiczności. Uśmiecha się do manifestujących widzów, a kiedy oklaski trwają zbyt długo — wzniesione ramię Hitomi uspakaja je gestem.

Hitomi — inna jest dziś, niż przed czterema laty, kiedy to na igrzyskach kobiecych olimpijskich w Goeteborgu była samą radością i zwycięstwem. Spontaniczna bojowość, nieulękła pewność zwycięstwa, radość ruchu i walki, lekkość wysiłku — oto, czem porwała Hitomi Europę przed czterema laty. Potem przyszły igrzyska olimpijskie w Amsterdamie i Hitomi nie zdobyła ani jednego pierwszego miejsca. Gorzkie zawody... Potem — więcej pracy i wysiłku. — Hitomi zdobywa szereg rekordów światowych, a z niemi — nieporównaną sławę. Minęły jeszcze dwa lata i Hitomi przybyła na stadjon praski we wrześniu b. r. w pełnym entuzjazmie swoich i obcych.

Przyjechała — inna. Na twarzy — cienie zmęczenia. Zniknęła spontaniczna radość, beztroska swoboda myśli. Pierwsze rysy znużenia, pierwsze passy przemijania — młodości, pierwsze oznaki musu rezygnacji... Dawniej — nie było widać kresu wysiłku. Wszystko wydawało się do zdobycia, do przełamania. Dziś — uśmiech spokojonej, dojrzałej wiedzy o niszczącem działaniu czasu — zwraca się ku młodemu pokoleniu sportujących dziewczynek z Dalekiego Wschodu.

Ale przecież — jest to wciąż jeszcze ta sama Hitomi. Mężne serce panuje nad wolą, wola — nad wysiłkiem. Upór zwycięstwa aż nierealny. Ofiarność nieszczędząca siebie tak dalece, że aż niszcząca. Nerwy trzymane w ryzach kontroli. Ambicja romantyczna: — mierz siły na zamiary...

Jest coś głęboko wzruszającego w sportowej sylwetce Hitomi, a co stanowi właśnie tajemnicę tego uroku, którym Hitomi podbiła świat białych. Ukochanie zwycięstwa za cenę najwyższego wysiłku, mądry uśmiech rezygnacji przy porażce, szczery, bezzawistny stosunek do innej, która zwyciężyła. Piękny charakter sportowy. Tylko sportowy? — Nie, charakter kobiet, które idą w nowych pokoleniach — przez sport w życie.

Nadewszystko — zdawałoby się — ukochała zwycięstwo swego imienia, dokonuje wysiłków nadmiernych — dla własnej sławy a przecież — ogromnym wysiłkiem pracy i czasu kształci w Krainie Wschodzącego Słońca całe pokolenia japońskich lekkoatletek, które za rok, za dwa — zwyciężą ją samą, będą lepsze od niej, zapłacą jej — za poświęcenia pracy — porażką jej własną...

Prześlicznie prosta, bez gestów próżnych, bez mistrzowskich zdziwaczeń, bez póz oryginalności. Żółty as sportu kobiecego ciosany jest w bryle jednotonowej, bez kompromisów, bez pęknięć. Jeśli chodzi o charakter, o aktywność, o walory psychiczne i moralne — Hitomi jest wzorem niedoścignionym, jest najwyższą pochwałą sportu, jest zwycięstwem realnem idei sportowej, w której pokładamy tyle nadziei.

Hitomi — sztandar sportowy Japonji. Tajemnicą jej niezwykłych zwycięstw jest zapewne w dużej mierze — bezgraniczna miłość do kraju, którego broni w walce sportowej. Stąd wynika nieporównana, przez nikogo dotąd nieosiągnięta ofarność. Hitomi — najofiarniejsza zawodniczka świata — oto jej sportowe imię chrzestne. Hitomi chce startować wszędzie, chce walczyć ze wszystkimi. Romantyzm sportowy... Kiedy śmiertelnie znużona po dziesięciu w jednym dniu startach — wydaje się cieniem, niezdolnym do żadnego wysiłku, jedenasty start znów porywa ją na nogi i znów pasuje na jedną z lepszych zawodniczek świata. Zawsze gotowa do nowego boju waleczność, serce mężne i ofiarne, wola, trzymająca w ryzach wyprute z sił ciało — dają Hitomi rycerski pas legendarnego Samuraja, naramiennik — współczesnej amazonki życia.

Hitomi, Hitomi, — krzyczy wielotysięcznym głosem stadjon praski, poruszony do łez nieprzerwanemi startami japonki.

A Hitomi — właśnie skacze wdal. Jest to „jej" konkurencja. Musi w niej zwyciężyć. Chociaż... Jest straszliwie zmęczona. Twarz jeszcze bardziej zżółkła

i wydłużyła się, oczy bardziej skośne — mocno podkreślone cieniami. Czeka na swoją kolejkę, siedząc na ziemi. Koło niej — małe, zabawne, młodziutkie japoneczki z czarnemi warkoczykami w kolorowych wstążkach. Nic je nie obchodzi — prócz Hitomi. Okryta ciepłemi spodniami i paroma swetrami swych małych, żółtych sióstr, siedzi poważna i skupiona. Nie pada ani jedno słowo. Dwie „małe“ (małe, bo Hitomi przewyższa wszystkie o głowę) masują jej nogi. Dwie inne — okrywają i grzeją sobą jej plecy. Jest jakaś tkliwa serdeczność wychowanek Hitomi do swojej starszej, sławnej, zwycięskiej, teraz — zamyślonej i smutnej siostry.

Hitomi startuje. Stoi na linji startu. Jest w tak wielkiem skupieniu, że stadjon milknie. Kilka tajemniczych gestów i ruchów. Chuchnięcie tchu w złożone dłonie. Kilka ruchów nóg. Kilkanaście wahadłowych poruszeń rąk. Wygląda, jak kapłanka japońska, sprawująca gesty symboliczne i tajemnicze. I odrazu — silny wyrzut ciała w ruch. Bieg wciąż mocniejszy. Potężne odbicie od deski skoczni. I na przestrzeni kilku metrów płynie Hitomi w powietrzu: nogi przebierają płynną masę po przestrzeni, a ręce zastygły w hieratycznem kapłańskiem uniesieniu.

Jest pierwsze miejsce i Hitomi staje przed sztandarem — czerwonej kuli wschodzącego słońca. Dziwne tony japońskiego hymnu spływają na stadjon. Hitomi stoi nieporuszona. Pod żółtą skórą pulsuje czerwona krew. Powieki skośnych oczu opadają nizko.

Hitomi, żółta dziewczyna sportu, startowała potem w Warszawie. Przegrała do Walasiewiczówny wszystkie biegi krótkie. Przegrała powtórnie. Przegrała do zawodniczki, której walor sportowy i moralny nie czyni ujmy zwyciężonej sławie Japonji. Hitomi znalazła swoją mistrzynię, znalazła w Walasiewiczównie siebie z przed czterech lat. I — jakby chcąc jakimś gestem powitać swą następczynię — wyjęła Hitomi kolce ze swych pantofli i ofiarowała je — symboliczne ostrogi rycerstwa sportowego — Walasiewiczównie.

Taką jest Hitomi, zachodząca gwiazda krainy Wschodzącego Słońca. I dlatego na stadjonach wielu państw Europy dokonała podboju serc tysięcy widzów.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

ZIEMIA zimą.





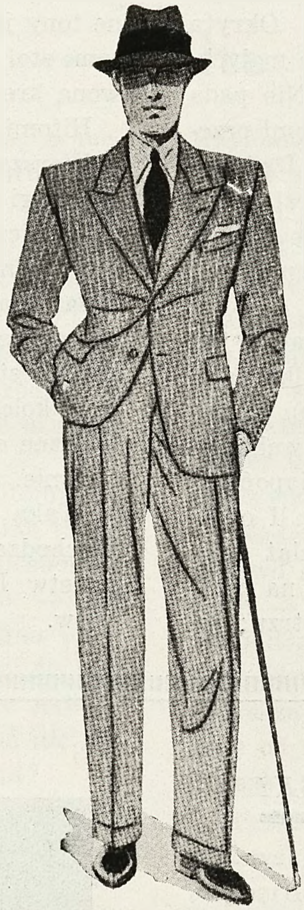
Jeszcze jedna zima. To już wszystko było:
Śnieg wstydliwie chwyta w objęcia swe ziemię.
Ona się wyrywa jego gładkim siłom
I pniami drzew tryska wyżej niż złudzenie.

Śnieg do kory przywarł. Jest do rdzy podobny,
Po pniach pełznie w górę, wzbiera ku wierzchołkom,
Przy pomocy wiatrów, jak śmigła obrotnych
Rozpręża się, rośnie. Niemal nieba dotknął.

Jeszcze gdzieś na drzewa najwyższej gałęzi
Kula śniegu wisi owocem dojrzałym.
Wiem. Śnieg jest soczysty, soczystością świeci,
Taki jasny blaskiem — jakby płatki drgały.

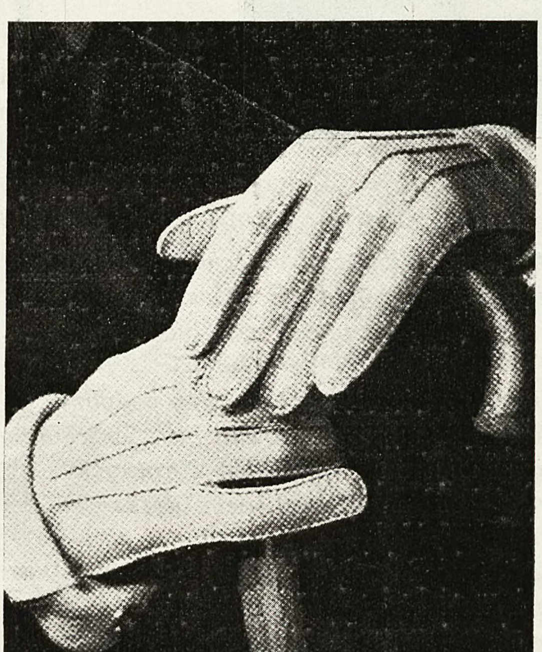
Śnieżny, sypki piasku. Niebo wielka karta.
Gwiazdy — są to zgłoski, które Los nam pisze.
Na spełnienie prędkie, że choć nie otwarta
Lecz dosięgła śniegiem, co wśród gwiazd tych przysechł.

Coś dla pana

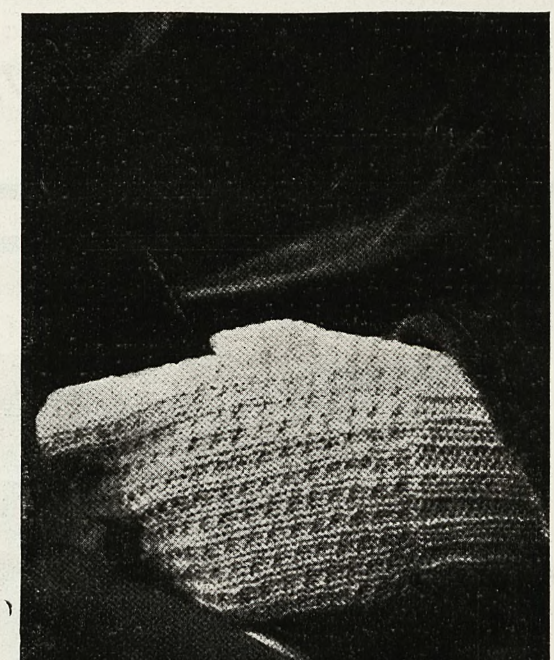












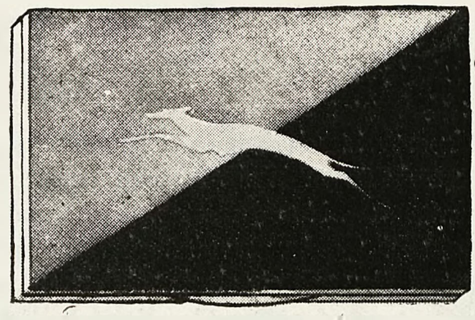
Do podróży, na wycieczki — nowość — rękawiczki „peccary", — amerykańskie. Wyszycia czarne.

Do konnej jazdy należy używać rękawiczek angielskich: wełnianych lub jedwabnych. Nie należy ich jednak nosić na codzień, chociaż niektórzy popełniają ten błąd.

Wytworne papierośnice

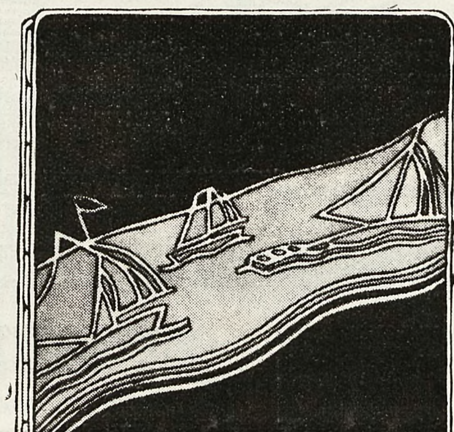
Zamieszczone modele papierośnic należą do niezwykle cennych ze względu na artystyczny dobór kolorów i precyzyjne wykonanie. Eleganckie w swej kompozycji mogą stanowić piękny, gwiazdkowy podarek.

Trzy papierośnice różnych wielkości. W górze papierośnica damska. Zwinna sylwetka charta uwydatnia się na tle masy lakowej: niebieskiej i czarnej.

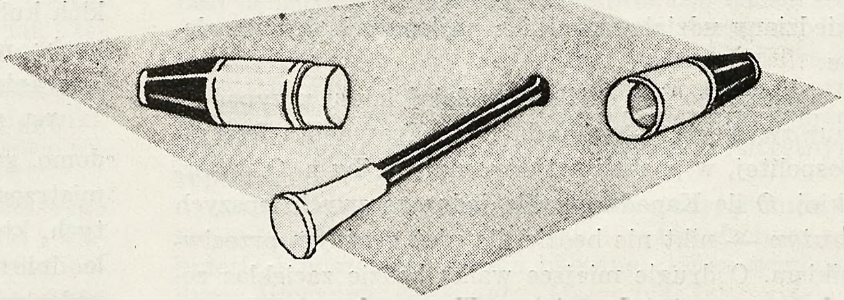


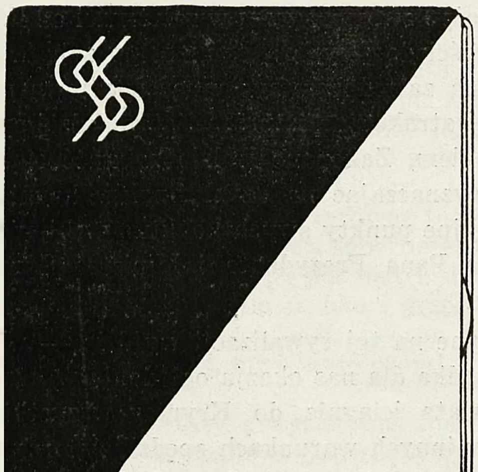
Model średniej wielkości, koloru czarnego, ozdobiony delikatnemi złotemi inkrustacjami, pięknie odbijającemi na tle błękitu nieba.

dla PANI i PANA



Czarno - złota cygarniczka stanowi piękny komplet razem z wypukłą, czarną, zieloną lub złotą papierośnicą. Małe wymiary pozwalają je nosić w torebce (dla pań) lub kieszonce kamizelki (dla panów).





Ta forma papierośnicy odpowiednia jest dla osób dużo palących, dzięki swej pojemności. Na czarnem tle — inkrustowany monogram srebrny lub złoty. Drugi kolor — biały lub czerwony.

JERZY WĘGLEWRKI

U progu Zimy.

Nasze sporty zimowe mają wyjątkowe szczęście. Dwa tylko razy dotychczas przypadł Polsce zaszczyt organizowania zawodów o mistrzostwo świata i oba razy szczęśliwymi wybrańcami losu były sporty zimy: narciarstwo i hockey. Przed dwoma laty Zakopane święciło tryumf niezwykle udanych zawodów o mistrzostwo Międzyn. Zw. Narc. Energiczna organizacja, wysoki, dzięki udziałowi Skandynawów, poziom sportowy i dopisująca pogoda przyczyniły się do wyrobienia Polsce i polskiemu sportowi entuzjastycznej opinji wśród całego świata sportowego.

Wyrobienie przez narciarzy kredytu na rynku międzynarodowym przysłużyło się hockeistom, którzy olśniwszy Europę błyskotliwemi wynikami z najlepszemi zespołami, oddawna ten sport uprawiającemi, doznali w roku bieżącym zaszczytu goszczenia u siebie elity mistrzów krążka. Organizację mistrzostw powierzono Krynicy. To zupełnie zrozumiałe, gdyż dzięki znanej już szeroko ruchliwości dyr. Nowotarskiego (Krynica jest zdrojowiskiem państwowem), w ciągu kilku lat zdołała ona ogromem pracy włożonym w udogodnienie gościom pobytu wybić się na najpopularniejszą w Polsce stację zimową, przeganiając tempem rozwoju Zakopane. Niewątpliwie mające się odbyć w Krynicy w początkach lutego zawody o Mistrzostwo Świata w hockeyu na lodzie utwierdzą tę popularność a nadto wyrobią jeszcze jednej polskiej stacji klimatycznej markę międzynarodową.

Złoży się na to znana i nie zawodząca nigdy zdolność Polaków do organizowania wszelkiego rodzaju zjazdów i imprez międzynarodowych oraz dopisująca pogoda, która, jeżeli wierzyć prognozom mądrzejszym od dwunogów i samego Pim'a chomikom, chowającym swoje zapasy zimowe w tym roku głęboko pod ziemię — będzie dość mroźna i wreszcie — zapowiedziany udział wszystkich najlepszych drużyn globu.

Nietrudno już dziś przewidzieć komu przypadnie laur zwycięzcy — nagroda Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, w postaci artystycznej rzeźby p. O. Niewskiej. O ile Kanada przyśle jedną ze swych lepszych drużyn — nikt nie będzie dla niej groźnym przeciwnikiem. O drugie miejsce walka będzie zaciekła: zeszłorocznego tytułu mistrza Europy bronią Niemcy (w których drużynie nota bene przeważają Szwedzi), trenujący już oddawna na sztucznym torze berlińskiego „Pałacu Zimowego"; konkurować z nimi będą Czechosłowacja, Szwajcarja, Stany Zjednoczone i 10 innych krajów z gospodarzami na czele.

Każdego interesują przedewszystkiem szanse naszej reprezentacji w tych zmaganiach.

Przypomnieć tu należy, że choć hockey jest najmłodszym z naszych sportów to jednak w ciągu paru lat jego życia osiągnęliśmy niezwykle zaszczytne wyniki, jak np. przed dwoma laty finał mistrzostwa Europy, w którym prowadziliśmy do ostatniej minuty, w której Czesi wyrównali a następnie po przedłużeniu meczu strzelili decydującą bramkę.

Do tegorocznych zawodów przystąpimy przygotowani wyjątkowo starannie, gdyż dzięki pomocy rządowej drużyna reprezentacyjna przejdzie przez obóz treningowy na sztucznym torze w Katowicach, a następnie na miejscu w Krynicy. Treningami kieruje jeden z najlepszych specjalistów kanadyjskich Farlow, specjalnie w tym celu do Polski sprowadzony.

Należy się spodziewać, że dni krynickie będą pięknem świętem sportu zimowego, które poza najlepszemi zawodnikami świata ściągną liczne rzesze wszystkich tych, którzy mogą sobie pozwolić na tygodniową ucieczkę z miast.

Jak wiadomo, w razie niepogody, zawody odbędą się na torze katowickim, a organizatorzy ubezpieczyli się ponoć w ang. „towarzystwie ubezpieczeń od niepogody", które pokryje koszty związane z ewentualną „przeprowadzką".

Blask powodzenia Krynicy przyćmi niewątpliwie popularność Zakopanego, które nie potrafiło utrzymać się na poziomie swego konkurenta.

Zamiast ułożyć swój program w zależności od licznego zjazdu gości do Krynicy, zamiast po zakończeniu tamtejszych zawodów przyciągnąć sportową publiczność jakąś atrakcyjną imprezą i sprowadzić specjalnym pociągiem, Zakopane wolało zabawić się w rywalizację, wyznaczając na dzień finałów krynieckich kulminacyjne punkty swych konkursów hippicznych: nagrodę Pana Prezydenta i Ministra Spraw Zagranicznych.

Jak Zakopane na tej rywalizacji wyjdzie — wiadomo, gdyż rzadka dla nas okazja oglądania w kraju mistrzostw świata ściągnie do Krynicy wszystkich tych, którzy w innych warunkach spędziliby przemiłe dni na wysłonecznionych trybunach hippodromu podtatrzańskiego, oglądając podczas słodkiego dolce-far-niente zorganizowane na tle górskiej dekoracji pokazy i zawody naszych kawalerzystów, „jazdę włókiem" (skijöring), gymkhanny samochodowe i motocyklowe na śniegu i t. p.

Zresztą nie zdziwiłbym się gdyby i Zakopane cieszyło się powodzeniem, bo czyż może być rozkoszniejsze spędzanie czasu, niż krajanie śladami nart nie-

pokalanych obecnością człowieka srebrzystych pól i po wysiłku beztroskie wygrzewanie na zimowem górskiem słońcu, pozwoliwszy oczom wędrować po dalekich śnieżystych wierzchołkach, układając plany nowych wycieczek, lub tylko podziwiając harce chmur i obłoków dookoła białych szczytów lub słońca.



Konsorcjum akcyjne „Ideal-Selectiv-Radio Company" było naprawdę wielkiem, na olbrzymią skalę zakrojonem, amerykańskiem przedsiębiorstwem. Dość powiedzieć, że w każdem większem mieście Europy miało swoje przedstawicielstwo, które kwaterowano zwykle w specjalnie na ten cel wybudowanym kilkunastopiętrowym gmachu. Obsługa nie liczyła nigdy mniej, niż stu ludzi, a miesięczne koszta reklamy przewyższały roczną gażą prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wystarczyło bowiem kupić zaledwie maleńki kryształek galenowy, by otrzymać jako premję pięknie wydaną książkę i luksusowem autem zostać odwiezionym do domu. Każdego klijenta traktowano tu z jednakową uprzejmością: zarówno tego, który wybierał sobie dwunastolampową superheterodynę, jak i tego, który przychodził po pół metra drutu. Jeden jak i drugi był identycznie szybko i grzecznie obsłużony. A to przyznać trzeba, jest, jak na nasze stosunki, większą rzadkością, niż bogate premje i luksusowe samochody.

Same warsztaty i wytwórnie aparatów własnego systemu według najnowszych zdobyczy techniki i wiedzy, znajdowały się w New-Jorku. Żeby zaś dać pojęcie o ich rozległości, powiem, że jeden pawilon, gdzie wyrabiano same tylko kondensatory, mógł w sobie pomieścić całą fabryke Forda.

Bez komentarzy! Jakby zakończyła ten opis w rubryce „ze świata" każda szanująca się gazeta. A ponieważ ja za autentyczność powyższej notatki mogę przyjąć równie stuprocentową odpowiedzialność, co naczelny redaktor wspomnianego pisma, wobec tego również mogę powiedzieć: „Bez komentarzy!"

Jednakże opis mój tem się różni od zwykłej wzmianki dziennikarskiej, że w gazecie byłby na tem koniec... ja natomiast mając więcej miejsca, mogę sobie ulżyć ku utrapieniu czytelników, jak mistrz Kraszewski.

Zacznę tedy od samego powstania tej instytucji. Otóż prezes tego tak obecnie wielkiego przedsiębiorstwa, mister John Gilbert Garding, mając pięć lat był, jak wszyscy wielcy ludzie nowego kontynentu — gazeciarzem. Wogóle w Ameryce, jeśli kto chce widzieć później swego syna wielkim wynalazcą, finansista, literatem, aktorem, czy dyplomatą, powinien go miast wysyłać na uniwersytet, gdzie mu w najlepszym razie (jeśli będzie dobrze pływał i boksował), dadzą jakiś tam nędzny tytuł doktora czy adwokata, oddać stanowczo na wychowanie do „New-Jork Herald'a", lub innego „Chicago Tribune". Stad wyszli: Edisson, Ford, Morgan, Chaplin, London i prawie wszyscy prezydenci U. S. A., którzy o swej kolporterskiej przeszłości z dumą opowiadają w wywiadach natrętnym reporterom.

„...sympatyczny mój rozmówca przyjął mnie w swym bogato, acz z dobrym smakiem urządzonym gabinecie i puszczając nosem błękitne kółka wonnego dymu Hawanna, rozpoczął: „Mając pięć lat musiałem już zarabiać na własne utrzymanie. Karjerę mą zacząłem jako zwykły, uliczny roznosiciel gazet, otrzymujac dziennie ...i t. d. i t. d."

Tak też i tym razem było. Ojciec szanownego prezesa John'a Gilbert'a Garding'a, Oliver Dick Garding, stary cowboy, człowiek surowych zasad, pragnąc widzieć w przyszłości swe jedyne dziecko na wysokiem stanowisku, oddał syna do jednego z większych dzienników stolicy.

Jednakże młody John był zainteresowany nietylko w prasie.

Po wysprzedaniu wszystkich numerów, jakie otrzymał z redakcji, intensywnie pracował umysłowo. A czuł w sobie zarówno żyłkę przemysłowca, jak i iskrę wynalazcy.

Był skromny. Rozpoczął stopniowo od groszowych drobiazgów.

Na początek wymyślił maleńkie blaszane krążki, które dziwnym zbiegiem okoliczności ważyły akurat tyle, co dziesięć centów. Materjału dostarczały mu stare puszki od konserw, znajdywane w śmietnikach, a szlifiernia były przejeżdżające tramwaje.

Otrzymaną w ten sposób hermafrodytę: pół-guzik pół-monetę, używał do wrzucania w otwory automatów: z czekoladą, papierosami lub znaczkami pocztowemi, a podjęte przedmioty sprzedawał po cenach nominalnych.

Interes prosperował nieźle. Mimoto postanowił go rozszerzyć.

Z uzbieranego w ten sposób wcale pokaźnego kapitału, wyasygnował pewną sumę na zakupienie w rzeźni, zdychającego cielaka. Znękane to bydlę wystawił pewnego mglistego świtu na skręcie samochodowej szosy.

Trąbka — rumor — bek — przekleństwa — gwizdek — protokół — odszkodowanie — gotówka.

W kwintesencji mały pastuszek z pliką rannego wydania „Daily“ pod pachą inkasuje za dojną krowę, jedyną żywicielkę biednej wdowy i sześciorga drobnych dzieci.

Zawód ten, aczkolwiek przynosił kolosalne dochody, był jednak dość ryzykowny. Często bowiem zdarzało się, że kierowca dodawał tylko gazu, pozostawiając za sobą śmierć i lamentującego nad trupem biednego zwierzaka, zbankrutowanego przemysłowca.

Zmienił fach. Został „Łaskawym“. Polegało to na tem, że na poczcie, w bankach, tramwajach, autobusach i kolejach podziemnych ginęły: kalosze, teczki, torebki damskie, portfele i t. d.

Na drugi dzień, skoro tylko otrzymało się z redakcji stertę egzemplarzy, wystarczyło jedynie zajrzeć na ostatnią stronnicę do rubryki „Rzeczy Zgubione“ i zapamiętać adresy, gdzie „łaskawy znalazca zechce zwrócić za sowitą nagrodą“. W ten sposób rozchód był minimalny, gdyż nawet na gazetę dziesięciu centów się nie wydawało, a zyski wcale nieraz pokaźne. Ale mimo wszystko był to proceder nad wyraz niebezpieczny. Bo choć zajęcie było zupełnie uczciwe, to można było przecież zostać schwytanym na gorącym uczynku kradzieży. Zaś John Gilbert Garding wyniósł z domu zbyt dobre zasady, by móc przenieść spokojnie podobne posądzenie. Poza tem niezawsze natrafiało się na starych dziwaków, którzy za odniesienie odrapanej laski dawali setki dolarów. Przeważnie nawet za krokodylową torebkę, zawierającą: puder, lusterko, kredkę czerwoną, kredkę czarną, kredkę niebieską i kredkę zieloną, chusteczkę i portmoneteczkę, manicure i pedicure, cztery męskie fotografje, papierośniczkę, cygarniczkę i zapalniczkę, zasuszony bratek, rękawiczki, pończoszkę „do nadrobienia“ i dowód osobisty z kleksem na dacie urodzenia otrzymywało się rozkoszny uśmieszek i „thank you“, dźwięcznie wypowiedziane przez ukarminowane usteczka. A tego choćby było jak najdźwięczniejsze, żaden normalny bank nie zgodzi się wymienić na dźwięczącą monetę.

Kilka razy zdarzyło mu się odnosić parasolki jakimś starym babciom. Brano go wtedy do pokoju, głaskano po główce, wypytywano o mamusię, rodzeństwo i częstowano kawałkiem słodkiego ciasta. Wtedy skoro się tylko znalazł za drzwiami, klął na czem świat stoi i wypluwał ciasto na schody. Innym znów razem za odniesienie portfela z dokumentami, usłyszał uprzejme: „No, twoje szczęście“ i nic ponadto. Nie, stanowczo nie było to pewne zajęcie. Trzeba było wymyślić coś nowego.

W małej zapomnianej nawet przez szczury niszy pod schodami otworzył sobie skład, gdzie gromadził znalezione kawałki pękniętych opon samochodowych, rowerowych dętek, starych kaloszy i podartych piłek. Miał tu już swoich pierwszych agentów — kolegów redakcyjnych, którzy mu przynosili wymagany towar, wzamian za jednego papierosa. Zebrany w ten sposób surowiec, krajał w kawałki wielkości sporego karmelka i po powierzchownem obskrobaniu, pociągał lekko roztworem gumy arabskiej i malinowego soku (dla zatracenia smaku, jak mówił), a następnie posypywał to miałkim cukrem. Zawinięte w bibułkę z napisem: „Delition Chewinggum“ sprzedawał po dwa centy sportowcom, tłumnie zalegającym zielone galerje stadjonów. Lecz i to przedsiębiorstwo pomimo znacznych zarobków, szybko upadło. Pomijając już licznych naśladowców, konkurentów, którzy swoje falsyfikaty szumniej reklamowali, owijali w bardziej kolorowe bibułki i sprzedawali po niższej cenie, do ruiny doprowadziła go katastrofa spowodowana maleńkiem niedopatrzeniem. Podobnie, jak drobna nieuwaga maszynisty powoduje w fabryce wybuch kotłów, roznosząc wokoło śmierć i niszcząc przemysł, tak i tym razem lekkomyślność producenta spowodowała upadek wytwórni wyrobów „Delition“. Był wtedy akurat okres walk bokserskich o mistrzostwo stanu. Popyt na gumę do żucia „Delition“ był wyjątkowy i wytwórnia nie mogła poprostu nastarczyć towaru. Nim zawody dobiegły półfinałów, dyrektor fabryki smakołyków, mister Garding junior, obliczając nadzwyczajny obrót, zauważył ze zgrozą w sercu, że w samej pełni sezonu zabrakło surowców. Nazajutrz w garażu redakcyjnym zginęła opona, a w drukarni pas transmisyjny. Ale traf chciał, że tego dnia zjechała jakaś footballowa drużyna i na jednym meczu, (który odbył się bez względu na pogodę), cały transport został wykupiony. Młodociany prezes „Delition Company“ naprzemian to zacierał ręce z radości, to z zakłopotania drapał się w ostrzyżoną włowinę.

Wreszcie, jak zdawało mu się, znalazł pomysł: Zarobił już tyle, iż dla większych obrotów mógł sobie pozwolić na pewien rozchód. Od znajomego chłopca, pracującego u elektrotechnika, odkupił za jedną spinkę i torebkę pestek cały krążek taśmy izolacyjnej. Nie wiedział biedak, że tu będzie jego Waterloo.

Zbliżały się końcowe walki, które miały wyłonić nowego mistrza. Zainteresowanie rosło. Oczy wychodziły na wierzch, palce zakrzywiały się w szpony, usta wyrzucały jakieś dzikie dźwięki, gardła paliły. Stąd prosty wniosek, że wyroby „Delition“, roznoszone w drewnianej skrzynce, zawieszonej na szyi samego wytwórcy, były rozchwytywane.

Aż spadł grom. Pewna grupa klakierów, mających za zadanie krzyczeć ile sił w płucach, by speszyć rywala, a dopingować swego faworyta, który ich do tego wynajął, wykupiła cały zapas ostatniego wynalazku z dziedziny cukrownictwa gumowego, t. j. taśmę izolacyjną, spreparowaną w soku cytrynowym na sacharynie. I tóż się stało? Oto grupa klakierów przeciwnika ryczała pierwszorzędnie, jakby ją zarzynano, na tempa, solidnie, jak przystało na dobrze zapłaco-

nych i zapalonych sportsmenów, gdy tymczasem amatorzy „Delition", siedzieli jak zahypnotyzowani. Naturalnie mecz przegrał ich klijent. Sprawił im też później za to, że no no — były mistrz wagi najcięższej.

Cóż się bo okazało? Oto poprostu taśma izolacyjna zrobiła swoje. Po spłynięciu lekkiej warstwy słodyczy, właściwa „treść", tak masywnie skleiła dziąsła smakoszom, że mowy być nie mogło o otworzeniu ust conajmniej przez tydzień. Ale zemsta jest rozkoszą bogów, a wspólne nieszczęście łączy i jednoczy serca. Wyczekali więc, ilu ich było dwudziestu, niefortunnego przemyslowca i spuścili mu z kolei tak tęgie wały, że wyglądał później jak salaterka, z której przed chwilą wylizano kompot.

Firma „Delition Chewinggum Company" zmuszona była ogłosić upadłość.

Uf! Zmartwienie jednak nie lubi kroczyć samotnie. Nadomiar wszystkiego John Gilbert został usunięty z zajmowanego stanowiska w piśmie, które ostatniemi czasy znacznie zmniejszyło nakład i redukowało swych zbyt licznych kolporterów. Został na bruku. Zresztą był na nim od dawna.

Ponieważ był zwinny, jak kominiarz, przyjęto go do warsztatów radjotechnicznych, gdzie otrzymał zajęcie przy zakładaniu anten na dachach. Była to jednak praca zbyt spokojna i zupełnie nie twórcza, dla tak rzutnego umysłu, jak nasz młody przemysłowiec. Mimo to Garding junior wcale sobie upodobał w tem „uziemianiu", świstaniu falami i przepalaniu lampek. A myszkując wciąż wśród rozmaitych inżynierów i mechaników, zrobił maleńkie odkrycie, które jednak w przyszłości przyniosło mu olbrzymie pieniądze i pozwoliło samemu założyć podobne przedsiębiorstwo. Mianowicie zauważył, iż szef jego gra na loterji. Dotychczas nie przyszło mu to na myśl, a może nie wiedział nawet o istnieniu takiej instytucji. Kupił los. I niedługo potem po raz pierwszy ukazała się w pismach jego fotografja, jako niebywałego szczęściarza.

„Głupim Pan Bóg dopomaga" — przypomniały mu się wówczas słowa, które zwykle mawiał jego ojciec, ilekroć przynosił żonie do domu zarobione pieniądze.

Wystąpił z zakładu, a poznawszy już mniej więcej konstrukcję radjo aparatów, założył fabryczkę na własną rękę i... powiększał kapitał. Ponieważ przedsiębiorstwo swoje zainstalował na prowincji, gdzie jeszcze radjo nie było tak popularne, odrazu znalazł wielu odbiorców, a że zawsze był zdolnym samoukiem, zainteresował się tą branżą poważnie, zrobił nawet kilka ulepszeń w tej dziedzinie, przemienił swą wytwórnię na akcyjne towarzystwo, ożenił się, jednem słowem „dobił do portu", jak mówią starsi, a „zbaraniał", jak mówią młodsi.

Obecnie, mister John Gilbert Garding, prezes „International-Ideal Selectiv Radio Company" konsorcjum, mającem w każdem większem europejskiem mieście swoje przedsiębiorstwo, liczy lat pięćdziesiąt cztery i kandyduje na prezydenta Stanów.

Kilka miesięcy temu „Ideal-Selectiv-Radio-Company" ubiegało się o koncesję na Polskę. W tym celu mister Garding osobiście zjechał do Warszawy własnym samolotem wraz z całym sztabem sekretarzy i stenotypistek. Po pomyślnem załatwieniu sprawy, zakupiono natychmiast jeden z okazalszych domów w centrum stolicy na składy i biura.

Sir John Garding'a poznałem na bridge'u u inżyniera K., zamerykanizowanego polaka, który w swoim czasie był jednym z dyrektorów wytwórni radjoaparatów w New-Jorku.

Prezes „Ideal-Selectiv-Radio" wyglądał tak, jak go sobie wyobrażałem. Szczupły, wysoki, mocno już szpakowaty, brunet o nieskazitelnie wygolonej, ogorzałej twarzy typowego Jankesa. Duże, wypukłe, na bronz opalone czoło, było przecięte jedną, energiczną linją, nadającą całej postaci wyraz niezwykłej stanowczości. Ubrany był wytwornie, acz jednocześnie z prostotą i bez przesady. Była to skromna wytworność lorda, a nie krzykliwa pstrokacizna nouveauriche'a. Zachowanie się mister Garding'a było nad wyraz ujmujące. Z uprzejmym uśmiechem opowiadał nam o swej młodości „górnej i chmurnej", o troskach i ostatecznych zwycięstwach, które tu już we wstępie opisałem. Następnie rozmowa zeszła na temat interesów, a w szczególności polski rynek radjowy. Mister Garding roztaczał przed nami swoje plany na najbliższą przyszłość. Mówił, jakie ma zamiar zastosować inowacje, jak rozpowszechniać w Polsce swoje wyroby, jak ogłaszać firmę. Między innemi wprowadził następującą reklamę: Na dziedzińcu, mieszczącym się przed gmachem przedsiębiorstwa zainstalowano kilka głośników, które zebranym tłumom bezpłatnie dawały koncerty, odczyty i najświeższe wiadomości. Zaś co pewien czas nad głowami słuchaczy unosił się aeroplan, rozrzucający ulotki z poszczególnemi literami. Kto zdołał ułożyć nazwę firmy, otrzymywał gratis dwulampowy aparat z wszelkiemi akcesorjami.

— „Według mnie — ośmieliłem się zauważyć — jest to conajmniej tyle oryginalne co kosztowne".

Na grze i rozmowie upłynął nam czas tak szybko, że nie zauważyliśmy nawet, jak wczesny, wiosenny świt począł zwolna zapełniać pokój, tłamsząc elektryczne światło.

Po raz wtóry spotkałem pana prezesa w klubie. Gdym pochwalił jego tak udatny pomysł reklamy, udostępniający szerokim rzeszom słuchania najlepszych w świecie koncertów i żartobliwie zganiłem rozrzutność w rozdawaniu premij, która nawiasem mówiąc i mnie pozwoliła zdobyć własny aparat, mister Garding zmarszczył swoje rasowe czoło. Skoro zasiedliśmy do stolika opowiedział mi co mąci mu spokój i nadrywa opinję u publiczności do jego przedsiębiorstwa. Otóż pewna banda sprytnych rzezimieszków korzystan wyraźnie z tłoku, jaki powstaje codziennie na terenach należących do „Ideal-Selectiv-Radio" i zoperowuje kieszenie zasłuchanym melomanom. Setki osób padają ofiarą ich roboty. Niedługo ludzie będą się obawiali choć na chwilę przystanąć, gdyż nie mówiąc już o portfelach, zegarkach, czy portmonetkach, które dość łatwo jest zwędzić, łotrzy posuwają się w swej bezczelności tak daleko, że ściągają szpilki z krawatów, pierścionki z palców, ba, nawet złote binokle z nosów.

— „Istotnie. U nas, w Warszawie — wtrąciłem — słynnej z wszelkiego rodzaju „brylanciarzy", „konsulów", czy innych oszustów, można się było tego spodziewać. W Szwajcarji np. nie znają ani kłódek, ani zamków, ani więzień. Tam chłopiec widząc przy płocie leżące na ziemi jabłko, podnosi je i przerzuca przez parkan, okalający ogród, skąd musiało spaść. Trudno, co kraj to obyczaj.„Westchnąłem zawstydzony, rumieniąc się za naszą stolicę. — „A jakież pan prezes przedsięwziął kroki zapobiegawcze?" — Zagadnąłem pomimo wszystko ubawiony tak nieoczekiwanem zakończeniem tej iście amerykańskiej reklamy.

— „No, to, co można było w danym razie zrobić. — Odparł rozkładając bezradnie ręce sir Garding. — Powiadomiłem o tem smutnem odkryciu miejscową policję, ale ta nic nie wykryła. Nie dając jednak za wygraną, sprowadziłem z New-Jorku mym samo-

lotem najlepszych detektywów, ci jednak również nikogo nie wytropili, ograniczając się jedynie do stwierdzenia, iż działa tu w tym wypadku jedna ręka. Wyznaczyłem więc wysoką nagrodę za schwytanie i unieszkodliwienie tej jednej, tajemniczej ręki i czekam obecnie na rezultat.

W tej chwili zbliżyło się do nas kilku panów i zasiedliśmy do kart. Przy preferansie prezes, John Gilbert Garding zupełnie się rozchmurzył. Widocznie wyraźnie zapomniał o gnębiących go troskach.

Po kilku dniach, śpiesząc za interesami, przechodziłem koło placu, gdzie tłum ludzi stał przed megafonem i z zapartym tchem wsłuchiwał się w boskie trele jakiegoś włoskiego tenora.

Zatrzymałem się i ja. Ostatecznie miałem czas.

Śpiewak był naprawdę fenomenalny. Od czasu Caruso i Batistiniego nie było chyba nikogo, kto mógłby tym skończonym wirtuozom dorównać. A tymczasem ten, nietylko że doszedł mistrzów, ale z pewnością przewyższył ich o całe niebo.

Aparaty amerykańskiego konsorcjum były znakomite i reprodukowały głos z nadzwyczajną dokładnością i czystością tonów. To też nic dziwnego, że słuchacze stali, jak wykuci z kamienia. Kobiety składały ręce jak do modlitwy, a mężczyźni z wzniesionemi głowami i otwartemi usty wyglądali, jak gdyby chcieli połknąć wypływające dźwięki.

Przypomniałem sobie opowiadanie mister Garding'a o grasujących złodziejach. „Istotnie stosowna chwila do okradania". Pomyślałem sobie z przekonaniem przysuwając się parę kroków naprzód, by stanąć nieco bliżej megafonu. I w tejże chwili usłyszałem, jak ktoś do kogoś wypowiadał tubalnym głosem sakramentalne: „W imieniu prawa — aresztuję!" I coś tam jeszcze.

Przyzwyczajeniem warszawskiego gapia obejrzałem się poza siebie.

Za plecami memi stał barczysty policjant. Jedna ręką trzymał mnie silnie za kołnierz, a drugą wsunął mi do kieszeni, skąd ku zgorszeniu zebranych, wyjął garść złotych zegarków, srebrnych papierośnic i brylantowe kolczyki.

Kłopoty Koka

Siedzę wieczorem w domu i myślę, że to nie jest zbyt dobrze, kiedy pustka w kieszeni, a święta za pasem. O upominkach dla znajomych nawet marzyć nie mogę, myślę więc tylko o sobie, ale i z tego jakoś „nic nie wychodzi". Kiedy tak siedzę i rozmyślam o marnościach tego świata, wpada jak bomba mój przyjaciel Koko, strasznie zakłopotany. — Co się stało? — Ach, wyobraź sobie, co za nieszczęście! Moja żona wysłała mnie po zakupy świąteczne. Biada mi! Co tu począć? Bo nie wiem gdzie i co i komu. Ratuj mnie bracie w tem nieszczęściu! Chodź ze mną. —

— Dobrze — odpowiadam. — Przecież lepiej kupować innym, niż myśleć o tem, że się samemu nic niema.

Na to Koko: — no to chodźmy do Herbsta. Przy dobrem śniadaniu ułożymy sobie listę tego co komu i gdzie należy kupić. —

Jak się rzekło, tak się zrobiło. Milutki lokal, grzeczna usługa — poprostu: Herbst i już. Posiliwszy się trochę przystępujemy do żmudnej pracy. Co komu i gdzie?

A więc mówię: — ty pisz, a ja dyktuję.

Wódki, likiery, piwo—tylko: Haberbusch i Schiele.

Koniak „Jubileuszowy" Winkelhausena. Wina słodkie, oczywiście krajowe, — Langnera.

Vermouth — Martini i koniecznie znakomity szampan znanej firmy Louis de Bary.

— Człowieku! — krzyczy Koko, — nie rób ze mnie pijaka! Dosyć tych alkoholów!

— Więc cóż jeszcze? — Sam nie wiem? Chyba coś słodkiego? — A oczywiście. Sądzę, że chociaż nie czytasz „Robotnika" znasz drogę, którą prawie wszyscy znają, drogę prowadzącą na ul. Szpitalną Nr. 8 do firmy „E. Wedel". Tam dostaniesz wszystkiego, czego dusza zapragnie, począwszy od zabawek na choinkę, skończywszy na tortach.

— Mając słodycze, musimy pomyśleć o kawie i herbacie — odzywa się Koko. — Zgoda. A więc idziemy do Meinla na Nowy Świat 43, gdzie dostaniemy świetną herbatę i kawę Brazylijską. — Koko, uradowany, z wielkim zapałem łapie się za portfel, krzyczy: — płacić!

Wychodzimy od Herbsta, wtedy Koko: — Wiesz co? Przypomniałem sobie jeszcze parę drobiazgów. — Myślę sobie: czy wuj w Ameryce zwarjował, czy Koko wygrał główny los na loterji, bo kupował losy w kolekturze Lichtensteina. Pytam go, a on odpowiada na to krótko: — Głupi! Nie wiesz, że z b i e r a m o s z c z ę d n o ś c i w P. K. O.!

Teraz zrozumiałem. Koko długo nie dał mi rozumować, tylko wyłuszczył poprostu — chcę kupić parę prezentów. Dla żony, dzieci, znajomych, no... i coś dla ciebie.

Koko — „byczy" chłop. Nawet o mnie pamięta. — Słuchaj — odzywam się, żeby ukryć zbyt widoczne zadowolenie. — Śpieszmy się, bo sklepy zamkną.

— No więc... — Dla żony prezent gustowny i praktyczny, a przytem tani dostaniesz w firmie „Bogusław Herse" — Marszałkowska 150. Dla dzieci — największy wybór zabawek mają „Bracia Jabłkowscy" — Bracka 23. Dla starszego Zygmunta, który, jak słyszałem, wybiera się do obozu zimowego Polskiej Y. M. C. A. kupimy sprzęt sportowy: narty, buty, łyżwy, ubranie narciarskie, w firmie „Olimpjada" — Warecka 5. A dla ciebie stary, mam myśl... Nosisz takie stare palto i zniszczony kapelusz, chodź do Cichockiego — Żórawia 28, świetny krawiec, specjalista od palt. Obstalujesz sobie palto a kołnierz fu-

trzany kupimy w firmie „Tytus Kowalski“ — Senatorska 10 i kapelusz u „Młodkowskiego“ na Placu Trzech Krzyży 18. Wtedy, kto spojrzy, ten powie: — Jak ten człowiek się świetnie ubiera! On napewno czyta „Wszystko dla wszystkich“, bo tak się ubierać mogą tylko ci, którzy stale czytają „Wszystko dla wszystkich“ — najlepszy polski magazyn ilustrowany, a dostawcami tych rzeczy mogą być tylko ci — którzy się w tym magazynie ogłaszają.

Szem.

JAK POWSTAŁY SZACHY

OPOWIEŚĆ WSCHODNIA.

Gra w szachy jest rozrywką, pochodzącą z krajów południa.

Na początku piątego stulecia naszej ery, miał ją wynaleźć pewien bramin, imieniem Nassir, syn Dahera, aby przekonać młodego, a potężnego, władcę Behiiba, króla Indyj, że panujący musi być zwyciężonym, jeżeli tylko opuszczą go poddani. Setki ludzi już przedtem starało się go o tem przekonać, lecz nauki ich były źle przyjmowane i większość ich przypłaciła je życiem. Skutki takiego postępowania nie długo kazały na siebie czekać. Uciskane plemiona burzyły się, a hołdowniczy książęta chcieli to wrzenie dla swoich wykorzystać celów. Wtedy Nassir, syn Dahera, wpadł na szczęśliwy pomysł, aby otworzyć oczy królowi na nieszczęśliwe skutki, które wywołać może jego postępowanie.

Wiedział jednak z doświadczenia, iż nauka nie da pożądanych wyników, o ile król sam się o tem nie przekona.

Wynalazł więc grę królewską, gdzie szach — t. j. król, chociaż jest najważniejszą ze wszystkich figurą, dla której obrony służy całe wojsko, nie może ani sam napadać, ani sam siebie bronić. Żołnierze więc, tak przez niego pogardzani, odgrywają w wojsku najważniejszą rolę i dlatego oni właśnie winni być najbardziej ochraniani; utrata bowiem jednego żołnierza wystarcza nieraz, aby króla zgubić.

Nowa zabawa wkrótce stała się powszechnie znaną. Król usłyszał o niej i chciał dowiedzieć się szczegółów od samego wynalazcy.

Bramin został wprowadzony na zamek i zaczął objaśniać zasady gry w szachy. Miał przytem dosyć sposobności, aby w delikatny sposób nauczyć króla wielkich prawd, których nie chciał przyjąć z ust innych braminów.

Krótko mówiąc, król, któremu nie brakowało rozsądku, ani szlachetnego sposobu rozumowania, zmienił swe postępowanie, zyskał serca swych poddanych i uniknął nieszczęścia, które nad nim wisiało.

Tak opowiadają arabscy pisarze o wynalezieniu szachów i trzeba przyznać, że chociażby to było tylko bajką, jest ona dobrze pomyślaną.

Zapewne czytelnik chciałby się dowiedzieć, jak król indyjski wynagrodził szlachetnego bramina za ten piękny wynalazek.

— „Synu Dahera“ — rzekł król do niego — „poznaję, że jesteś człowiekiem, w którym mieszka duch mądrości. Żądaj wszystkiego, czego chcesz. Mogę ci nawet ofiarować połowę mego królestwa!“

Nassir pokłonił się nisko i odrzekł: — „Królu i Panie, jeśli znalazłem łaskę w twych oczach, przyrzeknij mi to, o co cię poproszę.

Spójrz, podzieliłem szachownicę, która leży przed tobą, na sześćdziesiąt cztery pola. Rozkaż zatem twym pachołkom, którzy pilnują spichrzów, aby położyli na pierwszem polu — ziarnko pszenicy, na drugiem — dwa ziarnka, na trzeciem, — cztery, na czwartem — osiem i tak na każde następne niech kładą dwa razy tyle ziaren, co na poprzednie, aż do sześćdziesiątego czwartego pola“.

Gdy król to usłyszał, wpadł w wielki gniew.

— „Rozkazałeś nie jak mądry człowiek, lecz jak głupiec“ — rzekł. — „Czyż myślisz, że nie mogę ci dać nic większego, że wymagasz ode mnie tak mało?“ Jednak bramin obstawał przy swojem, mówiąc, że to mu zupełnie wystarczy, a jeżeli król uważa to za zbyt małe wynagrodzenie, niech mu da podwójną ilość pszenicy. Król rozkazał natychmiast przywołać głównego dozorcę spichlerza i wydał odpowiednie polecenie. Jednak już w krótkim czasie okazało się, iż mądry Nassir tem żądaniem chciał dać królowi nauczkę. Po kilku dniach, przyszedł królewski dozorca, zapewniając, że zaczął już wypłacać Nassirowi obiecaną ilość pszenicy, lecz nim jeszcze doszedł do połowy sześćdziesięciu czterech pól szachowych, ilość ziaren tak wzrosła, że niemożliwe było obrachowanie wszystkich. I tak zakończył: „wszystkie ziarno w całem królestwie mogłoby dostarczyć jedynie połowy zboża którego bramin zażądał“.

Teraz dopiero król pojął, co mu przez to chciał syn Dahera dać do zrozumienia. Kazał więc go przyprowadzić i rzekł:

— „Widzę, iż mądrość boska jest w tobie. Od tej pory ludy moje mają być rządzone, według słów swoich, a ty musisz jadać zawsze przy moim stole“.

I mądry Nassir zamieszkał z królem i był mu przyjacielem i bratem po wszystkie dni żywota.

Tłomaczyła z niemieckiego H. W.

„Złote szaleństwo"



Nasz miły teatr rewji „Morskie Oko" ostatnią swoją rewją „Złote szaleństwo" pokazał, że śmiało może uchodzić za najlepszy teatr rewjowy stolicy. „Złote Szaleństwo" to maximum oryginalnej i pomysłowej inwencji a zarazem szczyt wystawy.

Dawno już nie oglądaliśmy tak cudownych obrazów, jak: Hawajski Hula! Hula!

Nie podziwialiśmy przepychu dekoracji i kostjumów błyszczących złotem i nie słyszeliśmy tak znakomitych melodji.

Zula Pogorzelska, jak zwykle, same przeboje (uważam, że się powinno mówić nie Zula Pogorzelska, lecz poprostu przebój). Antoszówna robi więcej niż można; jej akrobatyka, to fenomen.

Nowicka zawsze zawiedziona, ale wzruszająca w swych melodyjnych tangach.

Lopek Krukowski to każdy wie, tego opisywać nie trzeba, takim już nic nie szkodzi. Bodo zamiast „Jolsona" złapał Chevaliera, ale ten ostatni lepszy, bo mniej czarny. Pozatem reszta z Sokołowską, Walterem i Olszą na czele robią wszystko co mogą aby „Złote Szaleństwo" było prawdziwem „Szaleństwem".



Zula Pogorzelska z boys'ami w numerze „To mi wystarczy".



Ela Antoszówna fenomenalna akrobatka w przepysznym tańcu „Rzeźba".



CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona zł. 500, 1/2 strony zł. 300, 1/4 strony zł. 200.
Ogłoszenia przyjmuje administracja wydawnictwa oraz osoby do tego upoważnione.
Redakcja i Administracja mieszczą się przy ul. Nowy-Świat 2 m. 1, tel. 263-64.
Prenumerata kwartalna zł. 3. Zagranica 1/2 dolara. Konto P. K. O. 16848.

WYDAWCA: SP. WYDAWNICZA „PRACA" | KIEROWNIK ARTYSTYCZNY: BOHDAN BOCIANOWSKI | REDAKTOR: WIESŁAW WERNIC

Zakł. Gr. Pr. Druk., Warszawa, N.-Świat 54, tel. 615-56 i 242-40